

RECENZJA

W ciągu jedenastoletniej współpracy z "Widnokręgiem" stroniłem od następowania moich comiesięcznych felietonów teatralnych recenzjami. Uważałem - i wierzę, że słusznie - iż ani miejsce, ani czas odgradzające od teatralnego wydarzenia nie upoważniają mnie do dzielenia się z Czytelnikami moimi sądami o wybranym spektaklu. Jeżeli teraz, zupełnie wyjątkowo, postanowię od tej zasady odstąpić, to i zupełnie wyjątkowo są tego przyczyny. Dnia 2 13 grudnia 1980 roku na scenie Teatru im. Słowackiego w Krakowie odbyła się prapremiera sztuki Karola Wojtyły "Brat naszego Boga". Nie muszę tłumaczyć, dlaczego ta właśnie sztuka premiera ma tak niezwykle charakter, iż zdecydowałem się omówić ją tutaj.

Z początkiem lata 1980 roku dyrektor Teatru im. Słowackiego, znany i zasłużony reżyser, Krystyna Skuszanka, uzyskała zgodę autora sztuki na jej realizację w prowadzonym przez siebie teatrze. Jes ied, która usunęła z pola widzenia wszystkie sprawy, poza jedną, najpoważniejszą, pozwoliła teatrowi na prowadzenie prób za horyzontem publicznego zaciiekawienia. Dopiero w październiku lub listopadzie szerzej rozeszło się po kraju, że scena krakowska pracuje nad "Bratem naszego Boga" - młodzieżowym dramatem Karola Wojtyły, znanym z publikacji w wielkanocnym numerze "Tygodnika Powszechnego". Rzecz stała się nawet, w krótkich chwilach słabnących napięć, przedmiotem publicznej polemiki, w której po jednej stronie wystąpił Jerzy Andrzejewski poddając w wątpliwość pomysł grania sztuki żyjącego papieża,

z drugiej zaś w obronę Autora wystąpił jego angielski tłumacz Bolesław Taboraki. Stała więc nie jako na porządku dziennym sprawa czy papieżowi wypada być granym? Wydaje mi się, że zgoda zainteresowanego na wystawienie sztuki jest jeszcze jednym dowodem prostoty i niezwykłości Jana Pawła II, który poddał swoje dzieło potocznemu osądowi ludzkiemu na zasadach obowiązujących każdego autora.

Myślę, że dla człowieka spoglądającego na Świat z wyciągniętym palcem Piętrowego bardzo wiele spraw przedstawia się zupełnie inaczej niż dla każdego z nas. Przede wszystkim w innych kategoriach dostrzega się to, co zwykliśmy nazywać potocznie **s u k c e s e m**. Osiągając tak wysoką godność nie sposób już myśleć o jej podniesieniu, a troska o sukces zostaje zastąpiona przygniatającym ciężarem odpowiedzialności za wszystko i wszystkich. Będąc - zgodnie z doktryną Kościoła - najwyższym autorytetem w sprawach wiary i moralności, do tego autorytetem dogmatycznie nieomylnym, inaczej ocenia się każde własne "ja" "tak" i własne "nie". Oto dlatego pokonywał obecnemu papieżowi za skromność i pokorę to, że zgodził się być dramaturgiem. Takim jak każdy inny. To, że nie zawiesił swego autorstwa na czas pełnienia najwyższej godności i nie uchylił się od ocen ludzkich.

Zapewne, że mogło stać się dla niejednego nieco szokujące to, iż papież swoim ziemskim nazwiskiem podpisał afisz teatralny. Ale raz, że jest to nie pierwszy papież-dramaturg, na bowiem poprzednika w osobie Piusa II /1405-1464/



- autora komedii "Chrysis" i dwa: że czas postępuje i Jan Paweł II także swoim autorskim przyzwoleniem przyspiesza. że postęp czy su w Kościele. Krok uczyniony ku światu wymaga godnego przyjęcia Godnego - w moim rozumieniu oznacza: w prawdzie. Skoro dzieło zostało oddane naszej ocenie jak każde dzieło sztuki, winniśmy je różną i sprawiedliwą miarą odmierzyć. Nie zasłaniając ani siebie, ani Autora jego wysokim autorytetem.

Sztuka "Brat naszego Boga", osnuta na kanwie życiorysu Adama Chmielowskiego, malarza i niosącego miłosierdzie zakonnika, jest czymś w rodzaju współczesnego moralitetu. Nie akcja, nie sceniczny "działanie się" stanowi istotę tego dramatu, lecz dyskurs o powołaniu człowieka i drodze prowadzącej ku Bogu. Bohater zostaje w toku widowiska postawiony dwukrotnie wobec dylematu wyboru. Po raz pierwszy, kiedy ma zdecydować opcję na rzecz sztuki czy Boga i po raz drugi, gdy już oddał się służbie bożej, musi wybrać między walką o lepszy byt niedzary i miłosierdziem mającym nieść im ulgę. Nie muszę dodawać, że dwukrotnie wybór pada na racje chrześcijańskie Boga i miłosierdzia. Nie jest to przesąd i być nie może zaskoczeniem, skoro wie się, kim jest Autor. Nie o zaskoczenie tu przecież idzie i nie - ja k podkreśliłem - smieszny nurt fabularny stanowi o wymowie sztuki i jej charakterze, a w ostatecznym rachunku oddziaływaniu.

Osobiscie nie należą do smatorów dramatów kontrowersyjnych, ani też współczesnych moralitetów, jakkolwiek przedstawione opozycje postaw i kwestia wolnej woli w wyborze drogi

stanowią przedmiot mego żywego zainteresowania. Wydaje mi się, że kolkwializm do naszego czasu nie bardzo już przystaje, zresztą dramat Karola Wojtyły jest bezspornie pokryty delikatną, ale wyrafinowaną patyną czasu. Kobi on wrażenie dzieła napisanego z końcem XIX wieku, a nie w połowie XX. Niezależnie jednak od tego ~~składnikiem~~ jest to literatura godna uwagi, choćby dlatego, że pozwala rzucić światło na tak niezwykłą osobowość i tak dla współczesności znaczącą indywidualność jak Jan Paweł II.

Krytyka Skuszenka, która przed ćwierćwieczem stała się architektem wielkości Teatru Ludowego w Nowej Hucie - wówczas najbardziej awangardowej sceny Polskiej - ma niewątpliwą zasługę z tytułu wprowadzenia na deski Teatru im. Słowackiego dramatu Karola Wojtyły. Na tego Autora i taki dramat było niewątpliwe zapotrzebowanie społeczne, czego najoczywistszym dowodem są wyprzedane na długie miesiące bilety. Lecz o ile spełnieniem zapotrzebowania społecznego wobec konkretnego autora jest po prostu wystawienie go, to już takie zapotrzebowanie w odniesieniu do wybranej sztuki realizuje się poprzez samą wystawę. Zanim jednak o tym, a jest to ~~temat~~ temat do dyskusji, słów kilka o potrzebie samego dramatu "Brat naszego Boga".

Nasz czas jest czasem nieustannych wyborów. Nie tylko takich jak ostateczne wybory Adama Chmielowskiego, ale wyborów banalnych, trywialnie powszednich, a przecież jakże brzeniennych konsekwencjami. Mam tu na myśli wybory w kwestiach moralnych. Te, które podejmować musimy nieustannie, każdym krokiem, gestem,



słowem i błyskiem oczu, śledząc swoje zaangażowanie po stronie Dobra lub Zła, swoją męłość, tędrność, lek i słabość. A przecież naszym ludzkim powołaniem miały być wielkość, odwaga i siła. Otóż czas wyborów jest czasem sztuki Karola Wojtyły i sztuka ta jest dramatem naszym, choć może nasze decyzje, nie będąc tak ostatecznymi, dokonują się w bardziej dramatycznej scenarii.

Reżyserka przyłożyła do konwersatoryjnej sztuki moralnej często używany przez nią klucz dramatu romantycznego. Klucz, jakim z wielkim powodzeniem otwierała dzieła naszych wieszczów, wleczła na scenie współczesnej. Także wymagający reżysera i najprzedniejszych aktorów dostał się w ręce inscenizatora mającego trudności z obsadą. To co powinno być tylko powiedziane /ale za to jak/, usiłowano nam pokazać. I na tym zasadza się pierwsza, lecz chyba najistotniejsza przesłanka porażki. Jestem najgłębiej przekonany, że *gdyby* nam zaoferowano braterskich tłumów w stylu brechtowskim z jednej strony, a romantycznej symboliki i patosu aktorakiego z drugiej - - "Brat naszego Boga" znalazłby i szukał ze sceny w scenę, miał tracić. Miał topić się we własnych słowach, rozbitych znaczącymi pauzami, przeinaczonych nadekspresją, zamazanych w toku działań fizycznych, zgubionych w słabej, niekiedy wręcz złej dykcji. Nie jest przypadkiem, że właśnie Karol Wojtyła, niegdyś aktor Teatru Rappodycznego, a więc teatru słowa, został autorem tego dramatu wprowadzonego do słowa i w nim uformowanego. Akcja, anegdota jest koniecznym szkieletem sztuki,

ale i jej słabością, obciąża wymowę religijną, społeczną i moralną. Dlatego trzeba też było sprowadzić całą reżyserię do jednego, wspólnego mianownika, którym jest tu słowo. Aby zaś wydobyć słowo, należało dysponować znakomitym zespołem.

Tymczasem...

Tymczasem główną rolę /Adama/ zagrał młody aktor Jan Frycz /na zmianę z Jerzym Gralkiem, którego niestety nie widziano/ w sposób poprawny, a to jest kęs na Osterw. Jego protagonistą był Wojciech Ziętarcki /Mieszajomy/, który najniepotrzebniej w świecie zdemonizował uczciwego "socyjalistę", czyniąc zń szataną pokusy. I skutkiem tego racje katolickie Adama stały się słabsze. Zwycięstwo nad takim, jakiego pokazał Ziętarcki, przeciwnikiem jest żadnym zwycięstwem. Tym bardziej, że idzie tu nie o zwyciężanie, lecz jeno o wybór. Wybór własnej drogi, bez zaprzeczenia słuszności cudzej. Adam, uważa, że wybierając Boga wybrał wolność większą niż wolność, o którą walczy Mieszajomy. Ale żadnej z tych wolności nie zaprzecza. Ah! bohater sceniczny, sni - jakby można z tekstu wnosić - Autor. Szabi się, tak ważni we wprowadzeniu, bądź rozwijaniu nikłej akcji, Stanisław /Andrzej Grabowski/, Maks /Andrzej Balcerzak/, Hubert /Tomasz Kiedzik/, Waj Józef /Leszek Kubanek/, Marynia /Maria Przybylska/. "atomiast Jerzy Nowak, który z największym powodzeniem mógłby stworzyć Mieszajomego, obdarzonego właściwą mu siłą autentyzmu i prawdy, błyska schowany w tłumie widzów. Czem? Przecież to i krzywda dla przedstawienia, i dla sztuki i dla widza!



Zbędne też wydają się próby przenoszenia w inny wymiar /jakby w głąb świadomości bohatera/ najbardziej weryficycznych scen: scen w ogrzewalni, wśród niedzwarzy. Zrezygnujmy i ciemni dzarze - nie wiedzieć czemu - stają się tłumem kalek, chorych i chorych. Symbol nakłada się na umowność, to zaś razem osiada ciężko na konwersacyjnym tekście, łamiąc strukturę dramatu i tak nie najsilniejszą. W sumie wychodzi się ze spektaklu z uczuciem zapełnienia i zawodu. Nie zmienia to oczywiście faktu, że teatr ma na wiele miesięcy, a może lat, zapewnione powodzenie dzięki niezwykłemu Autorowi i niecodziennemu faktowi teatralnemu, jakim jest i być musi pierwsza w Polsce premiera sztuki Karola Wojtyły. Ocena tej sztuki i tej premiery nie wpływają na głęboki szacunek wobec Autora tekstu ani nigdy się do tekstu chwali, ani też, gdy się go gani. Bo to są sprawy zupełnie rozdzielne: dzieło dramatyczne młodego księdza i sam Jan Paweł II.